

Stanisława Gołębowska

Sygnatura notacji: N1354

Data urodzenia: 26.04.1931 r.

Data nagrania: 05.05.2019 r.

Miejsce nagrania: Gminny Ośrodek Kultury, Sochocin, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Dorota Grzechocińska

Czas nagrania: 63 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Dorota Grzechocińska: Pani Stanisłavo, czy mogłaby się pani przedstawić?

Stanisława Gołębowska: Gołębowska Stanisława, 26.04. 1931 rocznik, jestem z Sohocina, z ulicy Płońskiej 40. Proszę powiedzieć o swojej rodzinie. Proszę pani, moja rodzina jest tragiczna. Ja nie wiem, jak zacząć. Żeśmy byli, tam, teraz, gdzie mieszkam, to tam stał dom, tylko że nie ten, bo w 1945 roku to ten nasz dom, co ja tam się urodziłam, to został rozjechany przez czołgi radzieckie, bo jak szedł front, to oni tam przez rzekę przejeżdżali i jak zawadzili, to wszystko to rozwalili. Tego domu teraz nie ma, ale mam to zdjęcie. To tam się urodziłam na Płońskiej ulicy.

Dorota Grzechocińska: Mama i tata.

Stanisława Gołębowska: Żeśmy byli... Moja mama z domu była Żywczyńska. Kazimiera Żywczyńska z Sohocina. To jest w Sohocinie urodzona. Tatuś Sobierajski Stanisław. Oboje byli z 1904 roku. Oboje byli z jednego roku. I mieli trzy morgi ziemi, tam kawałek, a między innymi to tatuś mój przez cały czas przed wojną pracował, bo w Sohocinie była spółdzielnia. Nie spółdzielnia, tylko guzikarstwo było. Było kilku takich panów, którzy prowadzili, mieli warsztaty takie. Między innymi pan Sidoracki, to taki był pan. Tatuś mówi, że robił u pana Broniszewskiego takiego. Żydzi byli i ludzie u nich pracowali. Nie tylko z Sohocina, ale z wiosek wszyscy. Tatuś mój robił u tego pana Broniszewskiego. I żeśmy tak sobie spokojnie żyli. Ale w 1939 roku, 10 lutego moja mama zmarła. Miała 35 lat. Miała 35 lat, zmarła. Panowała grypa tak jak dzisiaj. Tak jak dzisiaj grypa panowała. Bolała ją głowa, to położyła się a to była silna temperatura. To nie były takie czasy jak teraz. Zanim przywieźli lekarza z Płońska dorożką, to tam mama moja, już

nie było ratunku dla niej, bo na pewno leżała, myślała, że jak grypa, to i przejdzie. A to tak jednak nie było i mama moja w 1939 roku zmarła i myśmy zostali z tatusiem. Ja miałam siedem lat, chodziłam do pierwszej klasy. Brat mój miał trzy i pół roku, a siostra moja miała siedem miesięcy, bo się urodziła w 1938 roku, 4 lipca, a mamusia umarła w 1939 roku, 10 lutego. To taka była... I żeśmy zostali z tatusiem. I z babcią, mamusi matką. I tak żeśmy byli razem do 1942 roku. Ale w 1942 roku to taka tragedia. W 1942 roku mój tatuś, przyszedł do niego jeden pan, ja nie będę mówiła nazwiska, bo nie chcę, ale przyszedł i mówi: „Panie Stachu, może pan kupi... Mam cielęcinę do sprzedania.” To za Niemców było. Bo tam na tej ulicy Płońskiej u tych państwa Bylińskich, tam w podwórku, to była ubojnia, bo... To jeszcze znów się muszę wrócić do czego innego. Bo był taki Niemiec, Bader. Miał tutaj sklep taki. A tam była ubojnia. I tam pracowało kilku Polaków. I ten jeden z tych przyszedł do tatusia i mówi: „Panie Stachu. Mamy cielęcinę. Może pan by kupić”. A tatuś mówi: „Chętnie kupię”. Są dzieci małe i kupił. I ten mój tatuś poszedł do nich i tę cielęcinę przyniósł. Przyniósł tę cielęcinę, położył w takim drugim mieszkaniu, jeszcze była ciepła i gdzieś wyszedł. A za parę minut przychodzi policja po mojego tatusia. A tam jeden z tych panów, który pracował, też Polak, poszedł i ich zadenuncjonował. Mojego ojca, że kupił, tamtego pana, że sprzedał, to ich było dwóch, tych, co sprzedali. I tatusia mojego zadenuncjonował. Niemcy przyszli i tego mojego ojca zabrali. Tutaj była policja w tym budynku i długo trzymali, w areszcie go trzymali. Najpierw go trzymali tutaj w tym domu, co mówię, co rozebrany był, a później tam go prowadzili. Zawsze na dzień to go prowadzili, pamiętam, że rąbał drzewo. To ja z siostrą przychodziłam, tam brama jest. Ja teraz przychodziłam, to spójrzałam, to my dziurką patrzemy. Tatuś tam to drzewo rąbał. To oni go tam trzymali, a na noc go do tego aresztu przyprowadzali. I co jakiś czas tak trwało, i tatuś dostał wyrok za to. Dostał rok czasu. Sprawa była, bo to po prostu było jako... Sprawa była, bo został oskarżony. Jako przestępca gospodarczy czy jakoś. Bo tam mam takie papiery, tam pisze. I była sprawa i ta sprawa to była w Płońsku. Pamiętam, że to było na ulicy, tak jak teraz to chyba 17 Stycznia to jest. To tam ten budynek jeszcze stoi. Tam był sąd wtedy. Naprzeciwko taka tam figurka, co jest. Teraz też jest pewnie ta figurka. Na 17 Stycznia, jak się na targ idzie, to po prawej stronie stał ten budynek. I tatuś mój dostał tam rok czasu za to i najpierw to pamiętam, jak go prowadzili tą ulicą od tego sądu, prowadzili go tutaj. To jeszcze w Płońsku to nie było tak jak teraz, bo tam były takie kocie łby, kamienie, nie było asfaltu. To go prowadzili tak do tutaj, jak Warszawska, skręcili i go prowadzili do sądu. To ich prowadzili trzech. Dwóch tych żandarmów i prowadzili trzech tych panów. Tamci, to nie wiem, kto był, ale między innymi to był mój ojciec. I ich prowadzili, a ja tak mówię do tatusia, bo ja pojechałam, wujek mnie zawiózł do tego Płońska i jak ta sprawa była, żeby... Byłam mała, 11 lat miałam. A ja mówię: „Tatusiu, a na ile tatuś dostał?”. Ja tak, bo tak wujek mówi: „Spytaj się, na ile on dostał”. A tatuś się nie obejrzał, tylko tak pokazał palec jeden. Tak pokazał ten palec. I poszli. I to więzienie w Płońsku to nie było ogrodzone, tak jak teraz, tylko to był normalnie czerwony budynek z czerwonej cegły. Pamiętam, było takie wielkie, ta brama taka i taka była, otworzyli taką tę mniejszą furtkę i ich tam trzech wprowadzili. Ja od tej pory swojego ojca już nie widziałam. I nie miałam żadnego, bo byłam dzieckiem. Nikt mnie tam do tego Płońska nie zaprowadził. Oni tam podobno robili, bo tam szykowali to getto, to coś tam robili ci więźniowie, ale ja byłam dziecko. Nikt mnie tam nie zaprowadził, bo myśmy zostali z tą babcią sami. I ja nawet nie wiedziałam, bo później tatusia wywieźli z tego Płońska, to go wywieźli do Cieszyna. Wywieźli go do Cieszyna i z Cieszyna dopiero w 1943 roku, 13 teraz maja przyszło powiadomienie. Ja to powiadomienie mam. Przyszło powiadomienie, ale to przyszło chyba z Ciechanowa, bo jakoś to było z Ciechanowem coś tu powiązane. Przyszło to powiadomienie, że ojciec nasz nie żyje. Że ojciec nasz nie żyje. To już my wtedy nie mieli nikogo. Zostaliśmy sami z tą babcią tylko. I żeśmy tak razem byli. Jeszcze tatuś jak odchodził, pamiętam, to jeszcze kartofle były sadzone, bo to było, to ludzie nam

pomogli, to tam wykopalim to, zebrali z tego pola. I tak żeśmy z tą babcią żyli. Nareszcie w końcu, jak tatuś już tam zginął, to z babcią żeśmy byli i już od 1943 roku, jak tatuś zginął, to do 1944 roku, 18 stycznia zmarła babcia nasza. Zmarła nasza babcia i żeśmy zostali sami, ale była bratowa, znaczy mojej mamy, bo mama moja była Żywczyńska i ten wujek Żywczyński, oni też byli właśnie w tym Pomiechówku. I...

Dorota Grzechocińska: Zaraz, bo ten wątek mi się pogubił.

Stanisława Gołębiwska: Babcia umarła... Babcia umarła, to ciocia się zajęła tym, bo to bylim dzieci. Ciocia się zajęła, babcię żeśmy pochowali i żeśmy przyszli do tego domu, bo dawniej to tak trzymali go zmarłego w domu. Dziecko jedno było u jednej ciotki, drugie u drugiej, trzecie, a ta babcia w tym domu tam zanim ją pochowali, to tam stała. I później jak babcię pochowaliśmy, to żeśmy przyszli do tego domu i ciocia z nami przyszła, a ciocia mówi do mnie: „Weźmiem, rozpalim”, bo to przecież zima była, był 18 stycznia, rozpalimy ogień, a w tym czasie przychodzi, taki był komendant, Buksztaler się nazywał. Komendant Sohocina. Taki po prostu podobno, ja nie wiem. Taki nie czytały, nie pisały. Ale był komendantem Sohocina. Wszedł do nas, otworzył drzwi, wchodzi, do cioci się zwraca i mówi: „A kto się nimi tu zajmie? Bo jak się nimi nikt nie zajmie, to my ich zabierzemy, bo oni nie mogą sami być, bo spowodują pożar i się spalą”. A ciocia mówi: „Ja do nich przyjdę”. Bo ciocia mieszkała znów u swojej rodziny z tą córką, bo wujek był wywieziony na roboty do Niemiec. I ciocia do nas przyszła, i tak żeśmy później już byli do 1945 roku razem. A w 1945 roku znów była taka... Znów się uciekało przed frontem, bo to tak każdy myślał, że ci Niemcy daleko i ta wojna nie będzie trwała długo. My żeśmy stamtąd uciekali. Pojechali na Ciemniewo, tam jeszcze na jakieś wioski, a jak wróciłem, to ten domek już był rozwalony, bo front, jak szedł, to wszystko to rozjechał, zawadził, rozwalił. I tak myśmy byli z tą ciocią, wujek wrócił z Niemiec i tak żeśmy później razem byli z tą rodziną. Tam siostra to była mała, bo oni mieli taką córkę, ale ja z bratem to pomagaliśmy, co mogliśmy w gospodarstwie. Tak że skończyłem szkołę, później się porozchodziłem. Ja poszłem w jedną stronę, skończyłem szkołę, brat skończył szkołę i żeśmy się porozchodzili. Ja wyszłem za męża, siostra wyszła za męża. I tak jakby powiedzieć, dzięki Bogu wszyscy troje jako sieroty żyjemy. Ja już teraz skończyłam, 26 kwietnia, 88 lat. Siostra skończyła 81 lat, a brat 83 lata. I wszyscy żyjemy. I muszę powiedzieć, że to nie były takie czasy jak teraz, bo się nawet nikt nie pytał, czy my żyjemy na świecie. To jak ja teraz tak słucham, że... Ale nikt się nie pytał. Za przeproszeniem ni państwo, ni ksiądz, nikt się nie pytał, jak my żyjemy. Takie to było życie. I nieraz siostra moja mówi tak do mnie: „Słuchaj, powiedz, teraz tyle tak pomagają, a jak my to przeżyliśmy?” „No, przeżyłem. Tak żyłem, jak wszyscy. Byłem przy tej cioci i tak przeżyłem. Pani Stanisłavo, a wróćmy jeszcze na chwilę do tego momentu 1939 rok, wrzesień, zaczyna się wojna. Co się dzieje w Sohocinie na początku wojny? Ja mogę to zacząć, powiedzieć, jak w 1939 roku, jak przyszło wojsko polskie do Sohocina, to pamiętam, jak dzisiaj to wszystko. Bo najpierw to było w ten sposób, że przychodzili, spisywali. Znaczący zaczęli od początku, do każdego budynku wchodziłi i spisywali, ile może być żołnierzy zakwaterowanych w tym domu. To ja później pamiętam z rozmowy. W każdym domu, ile było zakwaterowanych żołnierzy Tak szli od domu do domu. I jak przyszli do nas, to u nas była kuchnia, bo była studnia. Bo u nas stała kuchnia i w jednym mieszkaniu myśmy mieszkali, a w drugim mieszkaniu byli żołnierze. Tak było, pamiętam, było tak odgródzone i słoma była położona, i to wojsko tak tam leżało. Leżeli. A w stodole to było też pełno wojska. Nawet to jeszcze później ta... Teraz już ta stodoła, jej nie ma, ale ta stodoła, jak wojsko było w tej stodole, to na każdej ścianie to był przybity krzyż taki z brzoźowego drzewa. I to wojsko było, a u nas była ta kuchnia tutaj, taki stół zrobili, to ogrodzili, przywieźli z lasu. Przywieźli, to wykopali z korze-

niami całe te i tak obstawili, taki zrobili, i tutaj był ten stół i gotowali, i te wojsko, a u nas na ogrodzie to były stoły postawione, ale w ogóle to jeszcze te stoły to co innego było jeszcze. Zaraz powiem jeszcze jak to było. I wojsko przychodziło na te obiady. Ale zawsze tak pamiętam, że byli kucharze. Jeden nazywał się Paraszko. Paraszko się nazywał. A drugi zapomniałam jak. To jeden to był, jak w cywilu, to był organistą, bo to byli przecież, oni byli ze wschodu, z tego, zapomniałam skąd oni byli. A drugi... Jeden Paraszko, a drugi nazywał się... zapomniałam. I zawsze jak obiad ugotowali, to my przecież bylim tylko sami z tą babcią, to oni zawsze do babci mówią: „Pani Żywczyńska, pani da garnek, bo my zupy...” i zawsze nam dali tego jedzenia ci żołnierze. I tak zostali w tym. A zawsze rano, to wojsko wychodziło na ćwiczenia. To oni gdzieś wchodzili, tam Obrąb, tam, tam, tam. A jak przyszli, to jak weszli do podwórka, to takie z mordowane, nogi poobcierane, posiadali i jedli. I później, jak było, to było... Jakie to było święto? To był 1939 rok już? Święto morza czy jakieś było święto. Mi się może przypomni, gdzie, jak to było. W każdym bądź razie, że to było w ten sposób, że jak było to święto, to u nas na ogrodzie były poustawiane stoły i to wojsko stało przy tych i oni te obiady jedli. I tak się... I przychodzili z tych ćwiczeń, to jak wpadli do tego podwórka, to z mordowani, jak nie wiem co. I zawsze później wychodzili na te manewry czy tam jak to, ja nie wiem, jak to się nazywało. Ale przyszedł wrzesień 1939 roku, tak? Zaczęła się wojna. Wojsko odeszło. A to wszystko już się działo przed wojną. A do kościoła to zawsze chodzili, pamiętam, chodziło wojsko czwórkami, a u sąsiadów naszych to byli podchorążacy. To było kilku tych podchorążaków. Jak to wojsko szło do kościoła, a to był bruk, a przecież mieli te buty podkute, to tylko huk był, jak oni szli do tego kościoła. I później dopiero, jak oni wyszli, jak to się stało, to oni byli... Chce się mi przypomnieć, kiedy oni z Sochocina wyszli. A zawsze jak na przykład, jak to wojsko było, to koło cmentarza tam takie były, to zawsze tam na apel wychodzili i śpiewali „Kiedy ranne wstają zorze”, wieczorem „Wszystkie nasze dzienne sprawy” to wojsko śpiewało. I zaczęła się wojna, pani Stanisłavo. Co się działo w Sochocinie? I jak się zaczęła wojna, to oni... Przyszedł czas do wojny, to oni wyszli. Oni poszli wszyscy w stronę tam Obręba, tam wszystko to wojsko poszło. Poszło to wszystko, to wojsko. Pamiętam, ludzie tak ich odprowadzali, a oni poszli i wojna się rozpoczęła. A jak wojna się rozpoczęła w 1939 roku, to powiem pani, że zaraz to ja sobie przypomnę, jak to było. To było w ten sposób, że już od Ciechanowa, to już w ogóle jechały wozy, pędzili krowy z tych dworów, to wszystko uciekali. Ja nie wiem, uciekali w tę stronę tutaj na Płońsk i tam za Płońsk. I myśmy też uciekali. To tatuś uszykował wóz i nas było kilkanaście rodzin z Sochocina, w 1939 roku i żeśmy na ten wóz tam dzieci powsadzali, a takie te większe, to za wozem wszyscy szli. I żeśmy uciekali, do Płońska pojechali. Pamiętam, że w llinku to żeśmy skręcili do tego llinka tym wozem. Bo to nie tylko my, bo tam było dużo wozów. Żeśmy w tym llinku tam stali i później nad ranem żeśmy wyjechali. Gdzieśmy jechali, żeśmy jechali... Pojechalim... Pojechalim na Włóki. Na Włóki. To było za Płońskiem. Tam żeśmy pojechali i tam żeśmy zostali na tych Włókach, te dzieci z tymi, a ci mężczyźni to wszyscy wzięli, uciekali przed frontem, przed Niemcami. Bo to tak było, że myśleli, że to tak daleko ci Niemcy nie pójdą, że to wszystko wróci. I oni nas zostawili, tatuś nasz też z nimi pojechał. Ale doszedł do Wisły i nad tą Wisłą wrócił się i mówi: „A ja ich zostawiłem”. I przyszedł do nas. I oni wszyscy, ci mężczyźni poszli, to później dopiero wracali z tego, a my wszyscy, tatuś z nami i tam nas było dużo, tam było nas może z pięć rodzin z Sochocina. Żeśmy przyjechali do Sochocina. To nawet nie do Sochocina, tylko skręcili do Gromadzyńska. W Gromadzyńsku się zatrzymali, bo w Sochocinie już był most zerwany, już nie było przejazdu. Później tamtędy przez Bolęcina przejechali do Sochocina, ten most był zerwany, ale to nie był ten most, co teraz, tylko był most drewniany obok, co taka jest wnęka, to tam była droga i tam był most, a to Niemcy zbudowali. Ten most to Niemcy zbudowali. Tę szosę zrobili do tego Ciechanowa tak przez to wszystko. Ludzie siedzieli, kamienie tłuki. A ten moment, kiedy zaczęły się wysiedlenia w Sochocinie. Pamięta pani, kiedy to się stało? Zaraz.

Chcę powiedzieć, jak to się zaczęło z tym wysiedleniem. Czy przyszła informacja jakaś, że będą wysiedlać? Ja tak nie pamiętam, czy to była informacja. Może to było. To może Niemcy to wiedzieli. Może ktoś wiedział, ale tak jak to było, to oni chodzili od domu do domu i tych ludzi wyprowadzali. Na przykład naszych sąsiadów na naszej ulicy, to byli wysiedleni. Zaczę od mostu. To byli wysiedleni: Banaszewscy, Dziekańscy, to byli lokatorzy, co mieszkali, później była przerwa, nasi sąsiedzi Lewandowscy jedni i drudzy, dwie rodziny Lewandowskich, później wysiedleni byli Bilińscy, a później tam dalej przerwa, tam dalej do rynku to już nie pamiętam. To pamiętam, jak oni wysiedlali tych ludzi, bo później tam dalej, to i tam moja ciocia, co mówię, mój wujek nazywał się Żywczyński. Mamy mojej brat. To był wysiedlony, on mieszkał w rynku. Oni byli wysiedleni. Też tam właśnie. I wszystkich tych ludzi prowadzili koło kościoła. Koło kościoła tutaj. Żydzi byli po stronie, od tej strony, a Polacy byli od tej strony. I wszystkich tutaj tych ludzi prowadzili i właśnie te rodziny, co mówię, to nas nie wysiedlili, ale my to już było wiadomo, bo pamiętam, że tatuś nas ubrał wszystkich i my staliśmy, i patrzyliśmy w okno, bo to mieli szczyt tego. To myśmy widzieli jak tych Lewandowskich wyprowadzali. To był niesamowity płacz, jak oni wychodzili i ich tam wyprowadzali. I później tu ich trzymali koło tego kościoła, później samochody przyjeżdżały i ich wywozili. Takimi ciężarówkami wywozili ich. Do tego Pomiechówka ich wywozili. To Żydzi byli od tej strony, a Polacy byli od tej strony. To pamiętam, że babcia jeszcze tam chodziła do cioci. Tam coś chciała, bo ta córka jej to była mała, to ona się urodziła w 1939 roku, a to było w 1940...

Dorota Grzechocińska: W 1941 roku.

Stanisława Gołębowska: Tak, tak, tak. To ja byłem mała. To tam coś jej nosiła. I wszystkich wywieźli do tego Pomiechówka.

Dorota Grzechocińska: Czy oni mogli coś ze sobą zabrać?

Stanisława Gołębowska: Jak? Czy mogli coś ze sobą zabrać, ci wysiedlani? Chyba to, co zdążyli w rękę wziąć, bo co oni tam mogli wziąć. Kto brał udział w tym wysiedleniu? Czy to byli miejscowi, Niemcy? To chyba byli ci folksdojczce. To byli chyba oni. Tak.

Dorota Grzechocińska: Pani znała tych ludzi? To byli sąsiedzi?

Stanisława Gołębowska: Kogo? Tych...

Dorota Grzechocińska: Tych folksdojczów.

Stanisława Gołębowska: Nie, nie, nie. Bo to tutaj na przykład Niemcy byli na Bielach, bo to w ogóle Biele to była taka niemiecka wioska. Tam było paru Polaków, a reszta to byli Niemcy. To między innymi to pewno byli z nich na Woli, Wola to też była taka więcej wioska niemiecka i byli Niemcy. I ich tutaj trzymali. Później stąd wywozili tymi samochodami. Jak ich wywozili, to... Jak kto było. No tak, wywieźli ich do Pomiechówka. I pani powiem, że jak do tego Pomiechówka ich wywozili, to później tam z Sochocina ludzie chodzili, bo żeby coś im tego, to zbierali jedzenie. Nie takie tam jedzenie jakies, tylko tak o. To tłuszcz w słoiki robili, to tam to takie robili te rzeczy. I między innymi to i mój tata

jeszcze, bo mój tata zginął, ale to tata mój jeździł i jeździli do tego Pomiechówka, a tam zatrzymywali się w Krocze-
wie u jakiejś, zapomniałam u kogo. Zatrzymywali się tam i mieli kontakt z takim panem, co on do tego Pomiechówka
woził wodę beczką, bo ta woda tam, co podobno była niepitna, to wozili spoza obozu. To na przykład tatuś mój, jak
pojechał z tymi, co tam miał to uszykowane do tego jedzenia, to podawali, poszykowali, to jak pojechał, to się z nim
umówił, to było przecież w marcu. W marcu to było chyba. 6 marca ich tam wzięli. To tatuś mój siadał na miejsce
tego gospodarza i wjeżdżał tam, a oni tam już wiedzieli, że tego i przychodzili, i każdy brał to, co mógł. Co mogli,
to wwozili. Można było wjechać do środka do Fortu? Ale tak się przemycić. Nie tak oficjalnie, tylko po prostu się za
tego pana, co woził tę wodę, się przebierali w jego te ubrania i tam wjeżdżali, żeby to tam zawieźć. Czy tata coś
opowiadał? Jak wyglądało wewnątrz w obozie? On tam daleko to nie wjeżdżał, bo tylko wjeżdżali tutaj do kuchni,
a tam to były te... Oni tam spali na słomie, na tym, bo to Forty chyba są. No. Boże. Ile razy tata był w Forcie? Ile razy
jeździł? Tego to ja nie wiem, ile razy, ale jak już... Bo to raz jechał ten, raz jechał ten, ale między innymi to wiem, to mój
ojciec tam pojechał, bo jak tam był wujek i ciocia z tą córką, to oni tam jeździli, wozili. A to jak jechali, to nie tylko
dla jednych. Co mogli, to wzięli. I co dalej stało się z tymi rodzinami, które były wysiedlone? To oni później mężczyzn,
to wzięli... Oni jeszcze z tego Pomiechówka, to część ich to wywieźli do Działdowa. Też z Sochocina. A później tych
mężczyzn to wywieźli na Rosję, bo mój wujek też był wywieziony i z tej Rosji uciekł później. Tam kilka było rodzin.
Wywieźli na Rosję, a te kobiety z tymi dziećmi puścili. Ale już ci ludzie nie wrócili do swoich domów, bo tu już osiedlili
się Niemcy w ich domach. Bo oni przeważnie z takich domów, gdzie ludzi zabrali, gdzie później Niemcy się osiedlili.
Tak jak mówię, jak tam koło nas, to mieszkał taki Niemiec, nazywał się Genat i był szewcem. Ale on też jakiś był Ma-
zur czy jakiś, bo taki, mówił trochę po polsku, trochę po niemiecku. Ale to chyba był z Mazur jakiś. On był szewcem.
I on u siebie zatrudniał. U niego pracowało pewnie z pięciu Polaków szewców.

Dorota Grzechocińska: I on też zajął gospodarstwo?

Stanisława Gołębowska: Tak. Oni tam nie mieli dużego. On tylko zajął ten budynek, bo on się zajmował tym
szewstwem, to już tam tej ziemi nie uprawiał. Ta ziemia to leżała odłogiem. Jeszcze tak to mi się przypomnia.

Dorota Grzechocińska: Czyli do końca wojny już te domy były zajęte przez tych folksdojczów?

Stanisława Gołębowska: Tak, tak, tak, tak.

Dorota Grzechocińska: A kiedy odeszli ci folksdojczowie?

Stanisława Gołębowska: Jak?

Dorota Grzechocińska: Kiedy odeszli stąd ci Niemcy?

Stanisława Gołębowska: Oni odeszli w czterdziestym... Przed chyba 1945 rokiem odeszli. Jak już nadchodził
ten front do tego, to oni wyjeżdżali, ci Niemcy. Ale jak oni tam daleko zajechali, to nie wiadomo, czy tam ich gdzieś
złapali, czy nie, to ja tego nie wiem. Mówiła pani, że jednocześnie wysiedlano i Polaków, – i Żydów z Sochocina. –

No tak, bo to jednocześnie. Mówię, Polaków po tej stronie kościoła, Żydów po tamtej stronie. Bo tu cały rynek, to było dużo żydowskich domów.

Dorota Grzechocińska: Czy Żydzi też byli wywożeni samochodami? Też do Pomiechówka?

Stanisława Gołębiwska: Tak, tak. To wszystko wywieźli do Pomiechówka, ich wszystkich wywieźli.

Dorota Grzechocińska: A ta pomoc, którą... Tę pomoc, którą udzielano, czy ta pomoc też była dla Żydów?

Stanisława Gołębiwska: Ta żywnościowa pomoc, którą... – To była po prostu... Ja nie wiem, bo to każdy jakby dla swojej rodziny wiozł. To tego to ja nie wiem, jak tam było. Bo to już Żydów nie było, żeby dać im, żeby swoim zawieźć. To ja tak myślę, nie wiem. Może jak mieli, to może się z nimi podzielili. To ja nie wiem, jak to było. Nie mam pojęcia. Co było wiadomo o Forcie? Co było wiadomo o Pomiechówku? Czy tutaj miejscowi ludzie wiedzieli, jakie tam są warunki? Czy przynoszono jakieś informacje? A skąd, na pewno nic nie wiedzieli. Tak naprawdę to pewno nawet nie wiedzieli, gdzie ich wiozq. Bo samochody podjeżdżały, takie ciężarówki. Nawet nie wiem, czy plandekę miały, czy odkryte i tych ludzi wsadzali, i wieźli.

Dorota Grzechocińska: Czy to wysiedlenie tutaj tych miejscowych ludzi, to było w jakiej porze dnia? – Czy to było nocą, czy nad ranem, czy w dzień?

Stanisława Gołębiwska: To było nocą. To było nocą. To było nocą. W każdym bądź razie to już taki się zrobił, takie różne te... Bo przecież jak weszli do jednego domu, to już drudzy wiedzieli. To pamiętam, że tatuś mój, jeszcze wtedy przecież był z nami, to nas prędko poubierali, my stalim wszyscy, tak jak akurat okno miałem do ulicy, to widzieli jak tych Lewandowskich wyprowadzali, tych naszych sąsiadów, jak wyprowadzali. A później jak już wrócili z tego, bo tych mężczyzn to było tego, a kobiety... Część z tego Pomiechówka to wywieźli później do Działdowa. Tak że tu w Sochocinie są też rodziny, które w Działdowie były. A później te kobiety, ich puścili, przyszli do tego Sohocina, to już nie wrócili do swojego, bo tak do rodzin, do tu, do tam. Do swojego nie wrócili. A tutaj się Niemcy obsadzili. Pani Stanisławo, pani była kiedykolwiek w Forcie? Widziała pani? Ja nie byłam w tym Forcie. Tylko tyle jak przejeżdżam, zawsze tak patrzę na to, ale w Forcie w środku nie byłam. Nie. Nie. A czy pani wiedziała, że tam oprócz tego obozu dla wysiedlonych było również więzienie? Że tam też przetrzymywano Polaków do końca wojny? Tam chyba musiało być więzienie, bo dlatego, że oni przed tym, to zabrali... Taki był na przykład... Była pani Hermanowicz, aptekarka. Ta apteka to była w tym budynku. Tam był, o, to jest ten budynek. Tu jest na tym. To była pani Hermanowicz i miała syna, to on był Witold? Chyba Witold. Z Sohocina to był on wzięty, był taki pan Ciosek z Gutarzewa. Było kilku takich. Na przykład taki był... To był mój wujek, mojej babci brat, Kruszewski. To oni ich wzięli i oni nie wrócili. Oni już nie wrócili. Ale wiem, że chodziło o tego pana Hermanowicza, to rzekomo, że on właśnie w tym Pomiechówku, tam musiał być obóz taki dla takich tych. I pani powiem, że na przykład jest u nas taki grób i tam są pochowani, właśnie jest pochowana ta pani Hermanowiczowa. Ta, która miała przed wojną aptekę i tego syna miała, co tego syna jej zabrali. Ale jeszcze chcę powiedzieć o tym jej synu, jak, jak... Bo to jednostka modlińska ten obelisk postawiła przed

cmentarzem. I ten pan Hermanowicz miał wtedy już magistra farmacji przed wojną. To on miał takie przemówienie przy tym kamieniu i ja tak dobrze nie pamiętam, ale wiem później z opowiadania, jak mi opowiadali. A po drugie to takie mam gdzieś, mam tam gdzieś takie zdjęcie. I on mówił na tym w 1938 roku, że Niemcy szykują się do wojny i to wszystko tak mówił, jak Niemcy przyszli, to go zaraz zabrali. Zabrali tego pana Hermanowicza. I ci jego rodzice są pochowani tu na cmentarzu, a on to tam w tym Pomiechówku zginął, tam to jak pani mówi, tam musiało być i więzienie, nie tylko tych, co przetrzymywali, bo to tak jakby wyglądało, może jakby byli tam, mówię, jakby byli... Może oni z tymi ludźmi by coś zrobili, ale doszedł, coś tam na jakiś front, jakieś coś tam na Niemców tam z tamtej strony uderzyło. Nie mieli czasu i tych ludzi puścili, bo może żeby nie to, to może by też tam ich wymordowali. Nie wiem, jak to by było z tego wszystkiego. Ale ta pani Hermanowiczowa jak tutaj miała tę aptekę, to później... To ją stamtąd wyrzucili, bo tam Niemcy takie kino zrobili, co tam taka świetlica była, a ona mieszkała właśnie tutaj w tej starej gminie i jest jej grób. Ona jest pochowana w czymś grobie. Taki duży grób jest, bo to taki był jakiś z Gutarzewa, dziedzic jakiś, pan Rzemposki się nazywał czy jakoś. Tak się nazywał. Stanisław. I ona jest w tym grobie pochowana później, bo byli zawsze tak: Danką, ksiądz, aptekarz i dziedzic to była taka, jak to powiedzieć, taka świta, prawda?

Dorota Grzechocińska: Elita.

Stanisława Gołębowska: Tak, elita była. I jak oni umarli, najpierw ten pan Hermanowicz umarł, bo tego syna ich zabrali, to później ten pan Hermanowicz umarł, to go tam pochowali, później jak pani Hermanowiczowa umarła, to też tam ją wzięli, pochowali. A ten syn ich zginął. Nie wiadomo tego. I teraz tam nie było tablicy. I tak żeśmy się zmówili z paniami w Sochocinie i żeśmy tę tablicę zrobili, ufundowali. Myśmy zbierali po parę złotych i są wypisane. Ale wypisaliśmy tego pana, co grób jest jego, to on jest wypisany na cmentarzu i pani Hermanowiczowa, i pan Hermanowicz jest wypisany, ten ich syn też jest wypisany na tym zdjęciu. A teraz już w zeszłym roku to mi tak przyszło do głowy, żeby to wziąć, napisać, kto oni byli, bo ci starzy to wiedzą, że to byli aptekarze. Bo przed wojną w aptece, to się nie sprzedawało lekarstw, tylko się robiło lekarstwa. Się szło, lekarz dawał, przepisał lekarstwa i się szło, i pan magister robił te składniki wszystkie i robił lekarstwo. A teraz to się kupuje gotowe. Bo to takie czasy. I oni te lekarstwa robili. I teraz, co ja chciałam powiedzieć? To jakoś się przerwało.

Dorota Grzechocińska: Że tablice państwo ufundowali.

Stanisława Gołębowska: Aha. I tak mi przyszło do głowy. Mówię: „Wiecie co, ale weźmiemy, napiszemy, że oni są aptekarze, bo nikt nie wie”. Ktoś mówi, a ja mówię: „Znasz panią Hermanowiczkę?” „Znam, bo przecież aptekę miała, lekarstwa za okupacji nam robiła”. Tak. Ona była całym lekarzem. Ludzie do niej szli, a ona rozmaite maści robiła. Mój Boże kochany. To ja mówię tak jak nieraz i zabierałam te pieniądze, to tak młodym to nie mówiłam, ale starszym to mówiłam: „Słuchajcie panie, zna pani panią Hermanowiczową?” „Znam. Pani Hermanowiczowa lekarstwa nam robiła, to, tamto”. „Wie pani, bo zbieramy po 20 złotych na tę tablicę”. To jedni to byli tacy, co chętnie dali. Bardzo chętnie. I te tablice tego. A taka jedna pani, mówię: „Proszę pani, a czy pani zna panią Hermanowicz?” „Tak, proszę pani, znam, bo mama moja przychodziła, to pani Hermanowiczowa nam lekarstwa robiła, bo to przecież i rozmaite były świerzby, i rozmaite wyrzuty. To wszystko to...” Ja mówię: „Wie pani, bo zbieramy po 20 złotych na tę tablicę”. – „Proszę pani, ja wtedy to byłam mała”. – „Przepraszam, ja też byłam mała”. Już jej wcale nic nie mówiłam o tych

pieniązkach, ale żeśmy te pieniądze zebrali i tablicę żeśmy zrobili, a w zeszłym roku jeszcze mi przyszło do głowy dopisać, że aptekarze, kto to jest. I tak też miałam zbierać, ale tutaj jest kłopot z ZBoWiD-u. I ja do jednej pani mówię, że zbieram, a ona mówi: „Pani Gołębiowska, niech pani nie zbiera. My damy na ten napis”. I rzeczywiście one... I do tej tablicy tam też się ZBoWiD dołożył. Nie wiem... Nie pamiętam ile. Też dali. Ona kosztowała 70 złotych i jest dopisane, że to są aptekarze, tak że jak ktoś zobaczy, to kto to są ci ludzie. A i on, ten syn jej właśnie tę przemowę mówił i oni zaraz po tym to jego zabrali i on rzekomo zginął właśnie w tym Pomiechówku. A jak miał na imię? Nie Witold? O Jezu. Nie Witold, ale takie długie to imię. Jak to się nazywa? Widzi pani, jak mi wyszło z głowy. Bo ja też myślałam, że on był Witold i tak miałam to napisać, temu panu, co dalim tę tablicę pisać, ale w końcu by się troiło w głowie, że to nie tak było. Ale w Płońsku w szpitalu, jak się wchodzi w tym wejściu tutaj, to na tej ścianie są wypisani lekarze, rozmaite takie zawody są wypisane. I tam między innymi ten pan Hermanowicz jest wypisany. Ja mówię, ale to mi się troi w głowie, to nie on, tak się nie nazywał. Może on się inaczej, jakieś miał inne imię. I zadzwoniłam tam do jednej, co pracuje w szpitalu, mówię: „Wyjdź, zobacz do tej tablicy, jak on miał na imię”. A ona mówi tak i tak. Dopiero ja dzwonię do tego, co miał pisać, mówię: „Już pan te tablice wypisał?” „Nie, jeszcze nie wypisałem”. „To niech pan tego, bo to imię to jest tak.” Włodzimierz. Chyba, o. Widzi pani. O Jezu, Włodzimierz chyba. No, a jak się myślę, ale chyba był Włodzimierz. I ta tablica została i tak teraz jest. A mało tego, to jeszcze się po parę groszy zbieramy i panią wezmę, weźmie posprząta co i raz, i tak że dopóki my żyjemy, niech to będzie, bo oni na to zasłużyli. Oni byli całymi lekarzami. Pani Stanisławo, a czy pani znała panią Wodzyńską, – żonę piekarza z Sochocina?

Dorota Grzechocińska: No pewnie. Jak to. Ona też została, ta rodzina też została wysiedlona.

Stanisława Gołębiowska: Tak, tak, tak, tak.

Dorota Grzechocińska: Jakie były losy pani Wodzyńskiej?

Stanisława Gołębiowska: Ja tyle, co wiem, to oni przed tym wysiedleniem chyba mieszkali tu u państwa Minakowskich, zaraz tutaj przy tego, bo tych państwa Minakowskich też wysiedlili i ich wysiedlili. I oni później, to ona, bo ona jest ode mnie młodsza. Ona jest chyba z 1934 roku, z 1933? A później przyszli, to jak wrócili z tego Pomiechówka, to w Sochocinie żyli.

Dorota Grzechocińska: Pani Stanisławo, to proszę opowiedzieć o rodzinie Wodzyńskich, – o tej rodzinie piekarzy?

Stanisława Gołębiowska: O tych piekarzach. Jak oni się nazywali? Wodzyńscy. Ona była Czesława, a on był Władysław i mieli dzieci. Była Miłka, to Mirosława. Bogumiła była chyba. Nie. Była ta Miłka, była Tereska, była Marysia, była Irka. Miłka, Tereska, Marysia. I jeszcze mieli jednego synka, to Bonawentura miał na imię i on właśnie z nimi był w tym... Pani Stanisławo, proszę opowiedzieć historię rodziny Wodzyńskich, piekarzy. Oni od przed wojny, pan Wodzyński Władysław miał piekarnię. Basia i Tereska. Ale jak ich wysiedlili, wysiedlili ich właśnie z tego domu, to oni później jak wrócili z tego Pomiechówka, to on też piekł, tylko w innym budynku piekł ten chleb. I później jak już jemu, jak pobudował ten swój, to do swojego przeszedł i do końca w tym swoim domu piekł, a dzieci pożeniły się,

porozchodziły się i koniec. A co się z nimi działo w Pomiechówku i w Działdowie? Co tam z nimi było to ja nie mogę wiedzieć, bo tak byli jak wszyscy. Tylko wiem, że ich do tego Działdowa wywieźli i w czasie tej wywózki, to ich mama zmarła i tak że oni nawet nie wiedzą, gdzie ona jest pochowana.

Dorota Grzechocińska: Co ludzie mówili na ten temat?

Stanisława Gołębowska: Jak? Co mówili ludzie na ten temat? Ja wtedy byłam dzieckiem, to tak się nie interesowałam, ale to tak później to była tragedia. Przecież jak on wrócił z tymi dziećmi tylko, a jej już nie było. Dlaczego rodzina nie wie, gdzie jest pochowana? Dlatego, że oni jak wieźli tymi samochodami, to jak ona zmarła na tym samochodzie, to ja tak wiem, co opowiadali. Że ją zdjęli i położyli ją na boku, na półrożku tak na tym, zostawili ją gdzieś. Tam się ktoś nią chyba zajął, czy tam te władze, czy kto, to tam nie wiem, czy ona była tam pochowana, czy może na jakimś cmentarzu, gdzie pochowana, ale oni to nie wiedzą, gdzie ona jest pochowana. Oni nie wiedzieli, gdzie ona była pochowana.

Dorota Grzechocińska: A co się stało z najmłodszym dzieckiem?

Stanisława Gołębowska: Jak? Z najmłodszym dzieckiem Wodzyńskich. Z najmłodszym dzieckiem, to najmłodsza to właśnie ona jeszcze żyje. Ta Basia jest najmłodsza. Ona mieszka w Olsztynie. A ten syn, który zmarł? A to on jest pochowany w Sochocinie na cmentarzu. On kiedy zmarł? Jak oni wrócili z tego Działdowa. Jak oni wrócili. Bo właśnie tak się zastanawiali, że on przeżył Pomiechówek, Działdowo i dopiero tutaj umarł.

Dorota Grzechocińska: W jakim wieku? Ile on miał lat?

Stanisława Gołębowska: Nie wiem, ile on mógł mieć lat. Nie mam pojęcia. Ale w każdym bądź razie to już był taki chłopiec. To może dwa, może trzy lata. Nie wiem, ile on miał, w każdym bądź razie, że to było małe dziecko. Bo nie wiem, ta najmłodsza, ta Basia to jest z 1938 roku, to on chyba musiał być jeszcze po niej. Nie wiem. A czy pani słyszała o jakichś ucieczkach z Pomiechówka? No pewnie, że słyszałam. Uciekali. Ale uciekała taka pani, Bocianowska się nazywała, ale ją to chyba zabili. Zabili ją. A co pani wie o tej ucieczce? Zna pani tę rodzinę? Rodzinę to znam, ale nie wiem, jak to było. W każdym bądź razie, że właśnie ta to zginęła, a druga to była... Tamtej się udało. To taka była Gienia Rendowicz, ale jej się udało i ona tu leży pochowana w Sochocinie na cmentarzu, tak że jej się udało uciec, a tamta zginęła. I tamta to jest pochowana chyba w Pomiechówku tam gdzieś. To tyle wiem, bo tak co później się dowiedziałam. A znać to i znam, i jedną, i drugą.

Stanisława Gołębowska: Jako dziecko.

Dorota Grzechocińska: Znała pani Bocianównę?

Stanisława Gołębowska: Co?

Dorota Grzechocińska: Znała pani tę Bocianównę?

Stanisława Gołębowska: Ja to tak trochę pamiętam jak przez sen, ale znam jej brata. Ona miała brata w moim wieku. Na imię miał Stasiek i on to zginął później, a jeszcze miała siostrę Martę i oni tu mieszkali w Sochocinie, a później to... Aha, i ta pani Bocianowska umarła. Jest pochowana w Sochocinie, pan Bocianowski w Sochocinie, a ten ich syn to w Warszawie był to w Warszawie pochowany, ta pani Marta też chyba w Warszawie, a ta, co mówię, to jest tu chyba w Pomiechówku pochowana, bo ona tam zginęła. Tam ją zabili. Z tej rodziny Bocianów nikt nie żyje już? Już chyba nikt nie żyje. Już chyba nikt nie żyje. Może od tego Stanisława to może ktoś z rodziny żyje. Może ktoś żyje. Bo dlatego, że ta pani Marta to ona była bezdzietna, to wiem, że nie miała dzieci, to ta zginęła. A Stasiek to był z mojego roku. Być może, że jego rodzina gdzieś żyje, bo na pewno miał dzieci, bo wiem, że był żonaty.

Dorota Grzechocińska: A czy ta matka opowiadała coś o śmierci tej córki? Czy ona była świadkiem śmierci tej córki?

Stanisława Gołębowska: Ta pani Bocianowska?

Dorota Grzechocińska: Tak. W Pomiechówku. Nie. Ona ze mną to nigdy o tym nie rozmawiała. Ale mówili, że właśnie gdzieś tam przechodziła i została zabita. Tak że w każdym razie nie udało jej się uciec. Pani Stanisławo, bardzo dziękuję za tę opowieść. Jeszcze chciałam dopytać, gdzie jest pochowany tata?

Stanisława Gołębowska: Mój tata?

Dorota Grzechocińska: Tak. Nie wiem gdzie. Zginął w Cieszynie, to pani pokażę, mam... – To chwilę. I ma tutaj symboliczny grób?

Stanisława Gołębowska: Ma. Tam jest moja mama pochowana. To proszę powiedzieć tylko pełnym zdaniem, że mój tata ma tutaj w... Tak. Symboliczny grób ma tutaj. Leży ze swoją żoną rzekomo. Rzekomo z mamą leży, ale nie leży. A ja jak jestem na przykład na cmentarzu, to ja nie myślę, wiem, że mama moja tu leży, ale tak myślę, a po moim ojcu? Jak ja muszę pani powiedzieć, że ja cztery lata temu to żeśmy pojechali do tego Cie... No, jak tam się nazywa.

Dorota Grzechocińska: Cieszyna.

Stanisława Gołębowska: Cieszyna. Pojechalim tam. Bo ja najpierw, pani powiem, poszłam do Płońska, te Walki i Męczeństwa, to to jestem, bo przy kościele od drugiej strony się wchodziło do budynku, tam siedziało dwóch panów i ich się pytam, że mówię, mój ojciec został wywieziony z Płońska do, no...

Dorota Grzechocińska: Cieszyna.

Stanisława Gołębowska: Cieszyna. I ja mam na to dowód, bo mam ten telegram. Mam ze sobą ten telegram. I mówię, i chciałam się dowiedzieć, jak to... Ten jeden pan, to jeden młodszy, drugi starszy, ponieważ on to nie wie, czy w Cieszynie to był jakiś obóz. Ja mówię: „Może więzienie”, był oskarżony to było więzienie. On był w więzieniu, prawda? To nie wie. To z siostrą żeśmy napisali tam do tego Walk i Męczeństwa, taki pan, pamiętam, nazywał się pan Makowski, napisał do nas list i powiedział, bośmy opisali, jak to było, że wszyscy zostali sierotami i tego, on mówi: „Słuchajcie panie, bardzo to przeżyłem i ja będę się starał odnaleźć, jak to było, co było, ale czy macie numer obozowy ojca?” A my mamy, bo to jest na tym napisany numer obozowy. I żeśmy wysłali numer obozowy, i pan nas zaprosił do Cieszyna, żeśmy pojechali, nas przyjął bardzo serdecznie, wszystko nam po tego i mówi: „A teraz z wami pójde do zakładu karnego”, bo to zakłady karne. I tam żeśmy poszli, tam ten naczelnik nas zaprosił, żeśmy poszli i mówi tak do nas ten naczelnik: „Proszę pani”, siostra była i ja, mąż mój był i mój syn był. Mówi: „Proszę pani, gdzie był zakład karny, to ja bym paniom pokazał, gdzie ojciec wasz siedział, w której celi, tylko że to jest zakład karny, tylko że w tej celi teraz to siedzi czterech, a w pierw to 40 siedziało i się dusiło”. I ten pan nam wszystko powiedział. A ten pan Makowski, tamten się pyta, ten pan naczelnik, ale czy szukałeś źródła, bo on pojechał do Katowic do tego i wszystko odnalazł. Ja tu mam wszystko opisane, jak ten ojciec mój zeznawał.

Dorota Grzechocińska: Nawet co te... – Odciski.

Stanisława Gołębowska: Tak. Ja to wszystko mam przy sobie. I mówi, pyta się: „A nie wiesz, gdzie to miejsce?” on mówi: „Słuchaj, tak z tego wynika, miejsca to nie ma”. Oni z tych szpitali, bo on później leżał, był w szpitalu wywieziony z tego i on zmarł, to oni wywozili wszystko do Brzezinek i po prostu palili. Palili te zwłoki z tych szpitali. Oni nie chowali, nie mieli grobów. Tak że mówi: „Nic z tego”. A jeszcze ten pan mówi: „A jakby pani chciała, to pani do tego szpitala, bo tam jest napisane, gdzie on umarł” A przecież po szpitalach nie będę chodziła, bo już miałam dosyć. Ale wszystko nam ten pan opowiedział. A na górę szlim po schodach, to te schody kamienne w tym więzieniu to są takie wychodzone, takie doły są, a ten pan mówi, ten pan naczelnik mówi: „Proszę pań, to było jedyne miejsce, gdzie wasz ojciec tędy wychodził. Pierwszy i ostatni raz tu wychodził”. Tak są wychodzone, takie są. Nie da się opowiedzieć. A ten numer obozowy to z jakiego obozu tata miał? To z tego Cieszyna był z tego, bo to było więzienie. Do dziś dzień stoi ten budynek. Tam jest normalnie zakład karny. Tam jak żeśmy poszli, to tam ci więźniowie chodzą. I ten pan mówi: „Gdyby to nie był zakład karny, to ja bym wam pokazał, w której celi ojciec siedział”. Tak że Niemcy tak byli skrupulatni, że człowieka wykończyli i opisali, że mu było to, że mu było tamto, że mu było tamto bo tamto. A oni nic nie byli winni. A on był przestępca gospodarczy, bo cielaka skupił, mięso zjadł. To jakby to wszystko opowiedział do końca, to mała głowa. Bo muszę pani powiedzieć, że taka rodzina jak w Sochocinie, to my byli jedna, co zostaliśmy w ogóle bez rodziców, a przez to, że ten człowiek wydał ojca naszego. On już teraz nie żyje. A pani powiem, że jak poszłam do kościoła i ksiądz zapowiadał msze święte, bo on gdzieś tam umarł. Rodzina dała na msze święte, a ksiądz mówi, że takie nazwisko powiedział, a ja tak w tym kościele po prostu zazemściłam i tak mówię: „Boże, taki nie taki, to nas tak osierocił”. Ale przyszedł do mnie ksiądz po kolędzie, wchodzi, ksiądz Zakrzewski taki był, wchodzi, ale mówi: „Nie będę długo zabierał czasu, bo mam takie straszne zmartwienie, takie mam przeżycia”. A ja mówię: „A jakie ksiądz ma? Przepraszam, że się pytam”. „A mama moja umarła”. „Proszę księdza, to księdza mama umarła, ksiądz jest rok ode mnie tylko młodszy”, a ja to zdjęcie wyjęłam, mam to zdjęcie ze sobą, ksiądz zobaczy, tu na tym zdjęciu to nie miałem ani ojca, ani matki. A ksiądz mówi: „A ja to już nie mam nic do powiedzenia”. „A jeszcze księdzu

powiem, że tak się przyznam, jak na świętej spowiedzi, jak ksiądz zapowiedział te msze święte za niego, to ja w tym kościele zazemściłam”. Co ten ksiądz powie? Powie: „Tak nie wolno w kościele”. A ksiądz tak się na mnie spojrzał, mówi: „A ja się pani wcale nie dziwię”. Taka to historia człowieka jest.

Dorota Grzechocińska: Ale wszyscy żyjemy.

Stanisława Gołębiowska: I dzięki temu mogliśmy...

Dorota Grzechocińska: Bez żadnych zapomóg.

Stanisława Gołębiowska: Dzięki temu mogliśmy usłyszeć tę historię. Jeszcze pani powiem jeszcze lepszą rzecz. Ta ciocia moja, ta Żywczyńska, w 1947 roku takie było ogłoszenie, żeby do Płońska się zgłosić, że będą robili zdjęcia sierotom i będą wysyłali do Ameryki i będą zapomogę pisali. Pani słucha. – Tak, tak. – Ja poszłam na piechotę do tego Płońska i wiem, w którym miejscu stałam. Jak jestem w Płońsku, to swoim dzieciom pokazuję, gdzie stałam. I zrobione mam zdjęcie, i mieli to przesyłać, to ani zdjęcia, ani tego przesyłania, ani niczego nie było. A my i tak żyjemy. Tak że to wszystko zależy od...

Dorota Grzechocińska: To miała być pomoc ze Szwecji, prawda?

Stanisława Gołębiowska: Jak?

Dorota Grzechocińska: Pomoc ze Szwecji miała być.

Stanisława Gołębiowska: Bo mi te mieli zdjęcia wysłać, żeby zobaczyć, jak my wyglądamy, jakie rzeczy mają przysłać. Ale zdjęcia nie mam i niczego nie było. Ale dzięki Bogu.

Dorota Grzechocińska: Telegram, tak? To jest zaświadczenie, ten telegram, który dostała, przyszedł, tak? To jest ten stary, bo tam odbitka jedna była, a to to oryginał jest. a to to oryginał jest. To jest oryginał, tak. To niech pani opowie, kto jest na tym zdjęciu?

Na tym zdjęciu. Zacznę od tej strony. To jestem ja tutaj. Tu jestem ja. Tu jest moja siostra.

Dorota Grzechocińska: Jak ma na imię?

Stanisława Gołębiowska: To jest Elżbieta. Ja jestem Stanisława, Elżbieta, moja siostra, brat Jan, to jest moja ciocia, bratowa mojej mamy, – a to jest ich córka Marylka.

Dorota Grzechocińska: Jak się nazywała?

Stanisława Gołębiwska: Żywczyńska Stanisława. Bratowa mojej mamy.

Dorota Grzechocińska: I ona się zaopiekowała.

Stanisława Gołębiwska: Tak. Po śmierci rodziców.

Dorota Grzechocińska: A jak miała na imię jej córka?

Stanisława Gołębiwska: Maryla. – Maryla Żywczyńska. Tak. Jeszcze żyje, jest w Szczecinku. Aha, i z jakiej okazji to zdjęcie zostało zrobione? To zdjęcie było zrobione z takiej okazji, że wujek był właśnie na robotach i ciocia wysyłała zdjęcie wujkowi. – I tutaj pisze. – Tutaj proszę to do kamery pokazać. „Najukochańszemu mężowi, żona z córką i wychowankami. – Właśnie. Tak. Na pamiątkę przesyłają w dniu 28 maja, 1944 roku”. A jeszcze jak to zdjęcie tak czytam, to tak mi trochę przykro jest, że ciocia nie napisała, jak my mamy na imię. Tak jakoś było przykro. Ale już to nic z tego. A na tym zdjęciu? Pani Stanisławo, na tym zdjęciu jest... To jest moja mama, Kazimiera Sobierajska, z domu Żywczyńska.

Dorota Grzechocińska: To jeszcze przed ślubem?

Stanisława Gołębiwska: Tak. To jest zdjęcie przed ślubem. Moja mama jak miała 26 lat, wychodziła za mąż. To jest jeszcze zdjęcie.

Dorota Grzechocińska: A to jest?

Stanisława Gołębiwska: A to jest mój tata, Stanisław Sobierajski. Z wojska. Stał, nie wiem, na Wołkowysku czy gdzieś stał.

Dorota Grzechocińska: Stacjonował wtedy, tak?

Stanisława Gołębiwska: Tak. Tak na tych terenach tam.

Dorota Grzechocińska: A to?

Stanisława Gołębiwska: A to jest telegram, który przyszedł, bo żeśmy zostali powiadomieni, że ojciec nasz nie żyje. – I jest tutaj informacja... – Jest... Tak. Proszę mówić. I na przykład ojciec był Sobierajski, a tutaj ma napisane Sobierański, ale to jak ten ojciec zeznawał, tak mam. Ale to tak pani powiem, jak kto słyszał, tak pisał. Trzeba bardzo pilnować. I tutaj mam informację, że ojciec zmarł 13 maja, 1943 roku w Cieszynie. Tak. Wczoraj miałam rocznicę, zapaliłam mu lampkę i kwiatki położyłam. I to jest... A to jest zakład karny w Cieszynie, gdzie ojciec mój był przetrzymywany. Tutaj jak na przykład, co jest tu, to tędy było wejście właśnie, tędy się do tego wchodziło. To takie pokazane, ale to ogólnie i ten pan z tego zakładu karnego nam to dał takie na pamiątkę, żebyśmy wiedziały, gdzie nasz ojciec siedział. Dobrze, dziękuję w takim razie bardzo.